

N1418_kr_FINAL_1_2

Ada Krystyna Willenberg: Ja właściwie nazywam się Ada. Ale ze względu na to, że byłam na aryjskich papierach na Krystyna Malinowska, i przyzwyczailiśmy się do tego, i najbliższa rodzina, i znajomi, i nazywają mnie Krysia, ale właściwie oficjalnie to ja jestem Ada. Więc ja urodziłam się w Warszawie, w 1929 roku, także jak wojna wybuchła, miałam dziesięć lat. Mieszkaliśmy razem z rodzicami w dzielnicy żydowskiej. Ciekawa rzecz przed wojną. Ja mieszkaliśmy na ulicy Franciszkańskiej. To gdzieś koło Nalewek. I prawdę powiedziawszy, że ja przed wojną w ogóle prawie że nie miałam kontaktu z ludnością nieżydowską. Chodziłam do żydowskiej szkoły, do przedszkola nie chodziłam. Na naszej ulicy, która była bardzo ruchliwa, oprócz Żydów nie było żadnych chrześcijan. Jedyny nie Żyd w naszym domu to był dozorca. Ale dozorca był tak zżydziały, że mówił pięknie po żydowsku. Także można powiedzieć, że przed wojną ja nie miałam prawie żadnego kontaktu z nie Żydami. Mój ojciec prowadził interesy z chrześcijanami i to właściwie trochę nam pomogło w dalszym ciągu. Ale jeżeli chodzi o moją dzielnicę, to naprawdę ani ja, ani moi rodzice nie mieli żadnych przyjaciół Polaków, także myśmy wszyscy się kręcili w swoim kręgu. Chodziliśmy do Ogrodu Krasińskiego, gdzie też sami Żydzi byli. Od czasu do czasu, w niedzielę od święta szło się też do Ogrodu Saskiego. Ja najpierw chodziłam do prywatnej szkoły, Cecylia Goldman-Landaułowa się nazywała, ale potem przeniosłam się do innej szkoły, do powszechnej i też sami Żydzi. Myśmy właściwie jak wojna się, mówiło się o tym, że zbliża się wojna, myśmy byli na wakacjach w Krościenku. To jest koło Krynicy. I wróciliśmy do Warszawy jeszcze przed 1 września i największe bombardowania na początku były właśnie na dzielnicy naszej żydowskiej, tak że pierwszy, że tak powiem mój straszny, Moje straszne spotkanie z wojną to było właśnie to bombardowanie, że pamiętam, wyszłam z mamą na ulicę i widziałam zamordowane konie, trupy ludzkie, domy częściowo zburzone, wiszące fortepiany, wiszące wanny, bo wie pan, część domu była uszkodzona, tak że część mebli wisało tak jak gdyby w powietrzu. To były te pierwsze straszności, które później okazały się niczym w porównaniu z tym, co było dalej. Więc właśnie, jeżeli chodzi o mnie, to co ja pamiętam? Że... Pan na pewno wie o tym, że przecież Polska została z jednej strony, że tak powiem, okupowana przez Niemców, a z drugiej strony przez Rosjan. I było dużo Żydów, którzy zostawiali Warszawian. Ja mówię o Warszawie. I przechodzili na rosyjską stronę. Na ogół ludzie młodzi, lewicowcy, ci którzy nie mają rodzin, nie mieli rodzin, uważali, że z Rosjanami im będzie lepiej niż z Niemcami. Mój ojciec miał poważną firmę, skóry. Myśmy mieli glansownię, farbownię i glansownię skór, przedstawicielstwo niemieckiej fabryki z Kalisza. I mój ojciec uważał, że on nie ma po co uciekać. On pamiętał Niemców z pierwszej wojny światowej. Kulturalny naród, z którym można robić interesy. A Rosjan raczej wspominał jako naród mniej cywilizowany. Tak że on postanowił, że on Warszawy nie opuści. Tym bardziej, że miał żonę i mnie. Ja

była jedynaczką. Ale któregoś dnia przyjechała pod nasz dom olbrzymia ciężarówka. Niemcy wyskoczyli z tej ciężarówki, kazali mojemu ojcu powyciągać towar z tej jego pracowni i on dźwigał, to były ciężkie skóry, bo przed wojną były, wie pan, zelówki były robione z takiej twardej skóry. Tak że myśmy mieli te twarde skóry. I on dźwigał na swoich plecach te skóry i ładował na te ciężarówki. A że widocznie nie był dosyć szybki, to go bito przy tym. Tak że nie dosyć, że mu zabrali te wszystkie jego, nie wszystkie, on część schował, ale zabrali mu dużo towaru, to go pobili. I on wtedy wrócił do domu przybity, bo to zupełnie nagle spotkał zupełnie innych Niemców. Nie to, czego się spodziewał. I przyszedł wtedy do domu i powiedział, że on tutaj z Niemcami nie zostaje. On idzie na stronę rosyjską. Ale ze względu na to, że nie wiedział, jak jemu się tam powiedzie, to postanowił, że na początku przejdzie granicę sam. Teraz już w Warszawie były pogłoski, że Rosjanie wywożą na Syberię wszystkich tych, tak zwanych bieżenców. To znaczy ci, którzy uciekli ze strony niemieckiej, burżujów, bogatych, inteligencję, tak że ci wszyscy są wywożeni na Syberię. A w tym okresie uważało się, że Syberia to jest najgorsza rzecz, jaka może się zdarzyć. Także mój ojciec sobie wykombinował, że niedaleko Trebłinki jest takie miasteczko Czyżew i stamtąd pochodzi jego rodzina. Pochodziła jego rodzina. Dziadek się tam urodził. I tam on ma rodzinę o tym samym nazwisku. Także on miał nadzieję, że jemu się uda w ten sposób dostać obywatelstwo, tak jak gdyby stałego mieszkańca. I rzeczywiście przyjechał tam, załatwił sobie papiery o tym samym nazwisku, co jego rodzina, co tam była i dostał bardzo dobrą posadę. Ze względu na to, że był człowiekiem wykształconym, to mianowali go kierownikiem stołówki dla oficerów rosyjskich. Także wiedział, że jedzenie będzie miał, znalazł jakieś mieszkanko małe i sprowadził mnie z mamą. To trzeba było przejść granicę, to przez Bug trzeba było. To trzeba było przekupić takich szmuglerów, którzy... Czekano się na noc bezksiężycową i rzeczywiście załatwilim, ojciec załatwił, że ja z mamą przeprowadziliśmy się też do niego. Warunki mieliśmy dosyć prymitywne, ale byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w trójkę razem. Zapisano mnie do szkoły. Ja chodziłam do szkoły, nauczyłam się rosyjskiego i białoruskiego. A oprócz tego w tym małym miasteczku dzieci nie chciały ze mną mówić po polsku. Bo w małych miasteczkach Żydzi mówili na ogół po żydowsku. Także te dzieci ze mną mówiły po żydowsku. A ja w domu żydowskiego tak bardzo nie słyszałam, bo moi rodzice między sobą mówili albo po polsku, albo jak nie chcieli, żebym ja rozumiała, to mówili po francusku. Bo pobrali się we Francji. Także ja żydowskiego trochę słyszałam w domu, ale nie znałam go. Ale w tym Czyżewie... I tam się nauczyłam żydowskiego. Nauczyłam się też żydowskiego w tym Czyżewie, tak że to był dosyć przyjemny okres. Ubikacja była na zewnątrz. Jak było zimno, to trzeba było, że tak powiem, siekierą odrąbywać te sterty tych, że tak powiem, lodu w kolorze brązowym, ale było dobrze, byliśmy razem. Ale któregoś dnia mój ojciec zauważył, że w tej stołówce ciągle ktoś coś kradnie. A on był odpowiedzialny za to wszystko. Tak że on bardzo chciał się pozbyć tej pracy i pracować

gdzieś indziej, gdzie nie będzie miał takiego stanowiska odpowiedzialnego. Ale nie chcieli go zwolnić, bo nie mieli nikogo innego na jego miejsce. Nagle on dostał wezwanie do wojska na ćwiczenie. Na sześć tygodni na ćwiczenie, ze względu na to, że był obywatelem rosyjskim, to dostał wezwanie. I ci oficerowie mu powiedzieli: "Nie ma problemu. My cię zwolnimy, bo ty jesteś potrzebny nam tutaj". Ale mój ojciec sobie wykombinował, że jak on pójdzie na te sześć tygodni na te ćwiczenia, to w międzyczasie oni muszą znaleźć kogoś na jego miejsce i wtedy on już będzie mógł może zostawić tę pracę. Ale czego nie przewidział, że po dwóch tygodniach... Okazało się, że po dwóch tygodniach wybuchła wojna między Niemcami a Rosjanami, a że on był w Ciechanowcu, a Ciechanowiec był na samej granicy, tak że prawdopodobnie on został albo zabity, albo ciężko ranny, bo były różne pogłoski. Myśmy... Mówili ludzie, że widzieli go zabitym, mówili tacy, że widzieli go rannym. W każdym bądź razie prawdopodobnie został zabity, bo kontakt z ojcem się od wtedy urwał. Myśmy zostały z mamą same w tym Czyżewie. Niemcy są w Czyżewie. Któregoś dnia jest rozkaz, że cała żydowska ludność Czyżewa ma się stawić na placu przy kościele, że będą wysłać ludzi do pracy do okolicznych miejscowości. I był bardzo gorący dzień, i moja mama powiedziała mi: "Wiesz...", ja miałam też kuzynkę w moim wieku, "Wy jesteście dzieci, wy i tak do pracy nie jesteście potrzebni. Wy zostańcie w domu, a ja się zgłoszę z całą ludnością na ten plac". I rzeczywiście ona poszła na ten plac, i Niemcy wtedy powiedzieli, że oni w samym Czyżewie potrzebują tylko sto osób do pracy. A cała reszta zostanie wysłana do pracy do okolicznych miejscowości. I wybrali setkę. Wybrali setkę, ale mojej mamy nie było wśród tej setki. Ze względu na to, że ona wiedziała, że ja zostałam tam gdzieś w piwnicy u nas w domu, to doszła do Niemca i powiedziała mu: "Słuchaj, ja znam francuski, znam niemiecki, znam rosyjski i polski. Zastanów się, czy nie przydałabym wam się być tutaj". On się zastanawiał, zastanawiał, powiedział: "Dobrze, niech będzie jeszcze jedna". Także zostało 101 osób. Co się okazało, że ci wszyscy, którzy mieli prawdopodobnie zostać wysłani do okolicznych wsi, zostali wysłani do okolicznego lasu i tam wszystkich zabili. Także zostało właściwie tylko to 101 osób z całej tej ludności Czyżewa. Dobra, teraz my jesteśmy w tym Czyżewie. Mamy tam, co prawda, zostało z naszej rodziny zdaje się dwie czy trzy kuzynki, ale jesteśmy same i postanowiłyśmy, że wracamy do Warszawy. Wiedziałyśmy, że nasze mieszkanie jest w getcie, bo getto, już w Warszawie było wtedy getto, ale nasze mieszkanie na Franciszkańskiej znajdowało się na terenie getta. Tak że wiedzieliśmy, że jak wrócimy do Warszawy, to mamy tam i mieszkanie, i wujków, i ciotki, i babcie. Że nie będziemy same. I znowuż chociaż Niemcy byli i tu, i tam, trzeba było znowuż nielegalnie przejść tę granicę i weszliśmy do getta. Wejść do getta nie był problem. Ale dla nas to był straszny szok, bo myśmy jednak wrócili z takiego jak gdyby wolnego świata. Nie wiedziałyśmy jeszcze wtedy o tym, że ci ludzie zostali zabici w tych lasach, bo to jeszcze pogłoski się wtedy nie rozeszły. Wiedziałyśmy, że nie chcieliśmy być tylko z tą setką.

Chcieliśmy być z rodziną. Ale jak weszliśmy do getta warszawskiego i pierwszy nasz, że tak powiem, wzrok utknął na trupach, bo leżały trupy. Ludzie, którzy umierali z głodu, wynoszono ich na ulicy, przykrywano ich gazetami, w gettcie było takie towarzystwo, które się nazywało "helerka". To była taka karetka, która zbierała tych wszystkich, którzy umarli z głodu i zawoziła ich na cmentarz, tam taki był masowy grób. Tam ich zrzucali. I nawet była taka piosenka, chodziły takie dwie dziewczynki i śpiewały piosenkę: "Oj ta Bona". Myśmy dostawali bony jedzeniowe. To były takie kartki jedzeniowe, które można było umrzeć z głodu z tego, bo to bardzo małe racje. Ale jednak to coś było. I co się okazało, że ci, te towarzystwo, które zbierało te trupy, zabierało im te bony. I albo dla siebie, albo je sprzedawali. I ułożyli, dzieci żydowskie ułożyły piosenkę o tej Bonie: "Oj ta Bona, ja nie chcę oddać Bony, bo Hitler jest cholera i Bony nam zabiera". Także ja nie chcę umrzeć, ja nie chcę oddać tej swojej karty żywnościowej. I to było to moje pierwsze spotkanie z gettem. Straszne było też, że ja pierwszy raz w życiu widziałam trupy. A te trupy puchły. Widocznie ludzie z głodu puchną. I te nogi były takie różowe, błyszczące, napuchnięte jak balony. I pamiętam, że mama mnie do siebie tuliła, starała się, żebym nie patrzyła, ale to było silniejsze od nas, widziało się to. Ale dotarliśmy do naszego mieszkania. Myśmy przed wojną mieli trzy pokoje, w których mieszkaliśmy razem z babcią i z młodszym bratem mojego ojca, znaczy z moim wujkiem. Ja i rodzice. Znaczący w piątkę. Teraz w tym mieszkaniu było 17 osób. Bo nie wiem, czy panu jest wiadome, ale getto to była jedna piąta całego obszaru Warszawy, a skupiona była ludność nie tylko samej Warszawy, ale też z okolic. Także te wszystkie mieszkania, które były na terenie getta, były bardzo zagęszczone. Ale wie pan, w tym okresie to mi się zdaje, że nam to tak bardzo nie przeszkadzało, bośmy były szczęśliwe, że jesteśmy razem z rodziną. Wujek mój był na tyle zaradny, że on jakoś przerzucał skóry na aryjską stronę. Myśmy z głodu nie umierali. Widzi pan, jeżeli chodzi o śmierć Adama Czerniakowa, to ja tego nie mogę panu opowiedzieć z tego okresu, kiedy to było, bo ja nie byłam tak bardzo wtajemniczona. Ja mogę panu opowiedzieć opowiadania moje, na przykład nie opowiedziałam czegoś, co opowiadam często, jak opowiadam młodzieży o swoich przeżyciach, że taki jeden z moich spacerów po getcie warszawskim. Bo moja mama uważała, że trzeba mnie jednak trochę wyciągnąć z tego zatłoczonego mieszkania i wychodziła ze mną na ulicę. A ja przed wojną, jak chodziłam do szkoły, to miałam dziesięć lat i widocznie już byłam dosyć kochliwa i zakochałam się w takim jednym chłopczyku. Przed wojną, kto był gruby, ten był ładny. Ja pamiętam, że mama moja była zadowolona, jak ojciec miał trochę większy brzuch. To znaczy, że to jest symbol zdrowia. I był taki jeden chłopczyk, który się nazywał Aronek Cukier, który był ładny i tłusty, taki przy kości. I któregoś dnia ten chłopczyk mnie zaprosił na przedstawienie, że mama ma bilety do teatru i idziemy na przedstawienie. I ja byłam bardzo dumna, że on wybrał właśnie mnie, a nie inne dziewczynki. Pamiętam, że mama mnie ubrała elegancko, zakręciła mi takie loki i poszliśmy na

przedstawienie dla dzieci. Dobrze. To była takie jedno ze scenek przedwojennych. Któregoś dnia ja z moją mamą spacerujemy po ulicach Warszawy, a mama brała ze sobą zawsze drobne pieniądze, bo napotykało się biedę i bieda prosiła o pieniądze, i mama wszystkim dzieliła drobne grosze. I w pewnym momencie z daleka dolatuje do nas chłopczyk. Wygląda jak szkielet. Chudy bardzo, oczy czarne, takie duże. I w pewnej chwili mama mu wyciąga pieniądze, żeby mu dać i on nie dochodzi, tylko ucieka z powrotem. I myśmy nie mogli zrozumieć, co to jest. Przecież ten chłopak chciał dostać pieniądze i dlaczego on uciekł? Co się okazało, razem z nami mieszkała moja ciocia. Ta ciocia moja mieszkała przed wojną w tym samym domu, w którym mieszkał ten Aronek Cukier z rodzicami. Jak myśmy opowiadali o tej historii, to ona mówi: "Ja rozumiem, o co tu chodzi. Ten Aronek Cukier stracił rodziców. Jego rodzice zostali wysłani. On chodzi po ulicach i żebrze. On widocznie poznał ciebie i on wolał nie dostać tych kilku groszy i żebyście go nie widzieli w tym stanie, w jakim on teraz jest". Także to jest taka jedna z tragicznych moich spotkań na terenie getta. Teraz nie wiem, czy panu jest wiadomym, ale był taki okres, że Niemcy wydali odezwę, że ci wszyscy, którzy zgłoszą się dobrowolnie na Umschlagplatz, dostaną bochenek chleba i stoik, nie pamiętam czy z miodem, czy z marmoladą. W każdym bądź razie wszyscy ci, którzy umierali z głodu zgłosili się na ten Umschlagplatz. Także na początku Niemcy nawet nie musieli robić łapanek, bo mieli dużo chętnych, którzy dobrowolnie szli na zagładę. Potem Niemcy zaczęli kombinować, że jest jeszcze tyle Żydów w getcie, że można ich zatrudnić. To zrobili na terenie getta tak zwane szopy, w których pracowało się dla Niemców. To były szopy, które robiły różne rzeczy. My z wielką protekcją, za łapówkę, trzeba było dawać forszę, żeby nas chcieli przyjąć do pracy. To mama miała trochę biżuterii i zapłaciła, i przyjęli mnie, mamę i moją babcię do fabryki szczotek. Wtedy trzeba było opuścić nasze mieszkanie na Franciszkańskiej, a fabryka ta szopów była na Świętojerskiej. Tam, gdzie teraz jest... Obok ambasady chińskiej. I myśmy byli szczęśliwe, że dostałyśmy się do pracy na tej ulicy Świętojerskiej. Ale co, Niemcy co jakiś czas robili tak zwane akcje. Oni bali się, że wśród pracowników jest dużo starych, dzieci, które nie są produktywne, a niepotrzebnie zajmują miejsce. Także co jakiś czas była akcja tak zwana, kazali wszystkim wyjść, opuścić pracę, zejść na podwórze i oni szukali, czy nie ma wśród pracowników starych i dzieci. Ja wtedy miałam 12 lat. Byłam, teraz też nie jestem wysoka, ale wtedy byłam jeszcze niższa. Byłam chuda, wyglądałam na mniej niż miałam. Także moja mama mnie za każdym razem charakteryzowała. Dawała mi swoje pantofle na wysokim obcasie, wsadzała do środka watę, bo to one były za duże dla mnie. Robiła mi fryzurę, takie wysokie loki, malowała mi usta i ja schodziłam na te akcje i jakoś kilka takich akcji przeszło dobrze. Ale 18 sierpnia 1942 roku była znowuż taka wielka akcja i znowuż myśmy wszyscy zeszli na podwórko i Niemcy kazali nam stanąć gęsiego. Jeden za drugim. I moja mama stała pierwsza, ja stałam za nią, a ona się odwróciła i widziała, że za mną stoją dzieci mniejsze ode mnie. I ona

mówi: "Wiesz, to nie jest dobrze. Na tle tych dzieci ty wyglądasz też jak dziecko. Zamienimy się miejscami". Kazała mi stanąć pierwszą, ona stanęła za mną, a za nią te dzieci. Ale tego dnia Niemcy w ogóle nie szukali ani dzieci, ani starców, tylko liczyli. Links, rechts, links rechts. Na prawo, na lewo, na prawo, na lewo. Przez to, że ona się zamieniła ze mną miejscem, to ją wzięto do Treblinki, a mnie zostawiono. Zabrano ją. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że Treblinka to jest obóz śmierci. Ja pamiętam, że ja byłam zadowolona, że mama na sobie miała dwie sukienki, bo myśmy się zawsze na te akcje ubierały po trzy pary majtek, po dwie, trzy sukienki, że jak będziemy pracować, żebyśmy miały bieliznę na zmianę. Także pamiętam, że pomyślałam, jest ciepło teraz, bo to był sierpień i ma na sobie te kilka sukienek. A poza tym to mój wujek był tam jakimś takim przewodniczącym i on mi powiedział też: "Nie martw się, ja już się postaram dzisiaj z Umschlagplatzu ją wyciągnąć". Bo były wypadki, nie wiem, czy pan się orientuje, ale na terenie Umschlagplatzu był szpital żydowski. I tam były wypadki, że lekarze albo pielęgniarzki wychodziły z tego szpitala, brały ze sobą dodatkowe fartuchy i jak chciano kogoś, że tak powiem, uratować, to ubierali go w ten fartuch, jak gdyby, że to jest też członek z pracowników. Ale nie udało się, mojej mamy się nie udało wyciągnąć i 18 sierpnia 1942 roku zostałam sama z babcią. Z babcią. Moja rodzina już była na aryjskiej stronie. Znaczą i dwie ciotki, i wujek. To był taki wujek, z którym ja razem mieszkaliśmy całe życie. To był tak jak gdyby mój starszy brat. Między nami było 17 lat różnicy wieku. Także oni zaczęli działać, żeby mnie i tę babcię jak najszybciej też z tego getta wyciągnąć. I rzeczywiście ja nie byłam tak bardzo wtajemniczona w to, jak to się odbywa, bo jednak byłam dzieckiem i widocznie bano się, że w razie czegoś, jak mnie złapią, to ja mogę za bardzo wyśpiewywać rzeczy, których nie powinnam. Także ja nie wiem, jak to było zorganizowane. Ale fakt jest, że czekało się na noc bezksiężycową. Na terenie getta nie było Niemców w nocy. Po aryjskiej stronie była godzina policyjna. O godzinie 9:00 Polakom nie wolno było kręcić się po ulicach. To po 9:00 podstawiano ze strony getta drabinę, ja miałam wejść na tę drabinę i miałam zeskoczyć, i ktoś po aryjskiej stronie miał mnie złapać, bo zeskoczyć to mogło być niebezpieczne. Ten ktoś, kto był po aryjskiej stronie i który na mnie czekał, on czekał na moment, kiedy żandarm nie jest blisko tej części muru. Także ja dwa razy wchodziłam na tę drabinę, dwa razy on mi dawał znak, żeby się cofnąć, żeby nie. Dopiero za trzecim razem skoczyłam. On mnie złapał i zaprowadził mnie do domu naprzeciwko. Tam już byli Żydzi. Tam już było kilku Żydów, którzy widocznie... tą samą drogą się tam dostali. Zanim mnie wyprowadzili na tę aryjską stronę, to ja zostałam. Nauczyłam się pacierzy, dostałam krzyż z łańcuszkiem. A i do tego jeszcze były pogłoski, że Żydów poznaje się po aryjskiej stronie po tym, że nie mają futer. Bo w getcie był rozkaz, że wszystkie futra trzeba było oddać Niemcom. Także Żydzi nie mieli w getcie futer. To ci, którzy mieli się dostać na aryjską stronę, starano się, żeby przynajmniej jakiś kołnierzyk z futra mieć. To skąd, to znaleźli

widocznie jakiegoś biednego pieska. Pamiętam, biały pudel, i z tego zrobiono kołnierzyki, i ja miałam takie granatowe paletko z takim kołnierzykiem z tego biednego pieska. Dobra. Jesteśmy wszyscy w takiej piwnicy. Ten właściciel tego lokum nam powiedział, że my mamy prawo tam być do godziny 8:00 rano, bo o 8:00 rano widocznie to już się kończyła ta godzina policyjna. Każdy miał opuścić to miejsce. A po mnie miał ktoś przyjść. Dobra. Godzina jest 8:00, wszyscy się ulotnili, a po mnie nikt nie przychodzi. Ja teraz tak, ja zasadniczo jestem właściwie w swojej dzielnicy, bo to jest wszystko, ja tę dzielnicę znałam, ale ja już jej nie pamiętałam. Ja jak długi okres nie byłam tam. I wyszłam na ulicę, sama jedna. Nie dali mi żadnych adresów, bo bali się, że ja znowuż. Ale pamiętałam, że mieliśmy klienta, który się nazywał pan Ciechanow i że on mieszkał na Starym Mieście pod numerem 6. To ja pamiętałam, bo to był dobry klient moich rodziców. Ja chodzę tą ulicą i ludzie na mnie patrzą. I ja jestem przerażona, że wiem, że widocznie każdy poznaje we mnie Żydówkę. Ale chodzę, chodzę i szukam tego Starego Miasta numer 6. W pewnej chwili dochodzi do mnie jakaś staruszka i mówi do mnie: "Dziecko, a gdzieś ty się tak pofarbowała?". Co się okazało, że ja jak siedziałam w tej piwnicy, nie zauważyłam, że tam były drzwi pomalowane na biało, i te całe moje granatowe paletko było w pasach białych. I to był powód, że ludzie na mnie patrzyli na te paletko posmarowane. Nieważne. Przychodzę na ten Nowy Świat, Stary Świat numer 8 [Stare Miasto 6], pukam do drzwi, otwiera mi kobieta. Ja mówię: "Ja przyszedłam do pana Ciechanowa". Ona mówi: "Pan Ciechanow tu nie mieszka". To ja zaczęłam płakać. Ona mówi do mnie: "Dziecko, co ty, co ty...", ja mówię: "Nie, bo ja... Moja mama jest w szpitalu, ojciec zginął na wojnie, a ja miałam taki adres do pana Ciechanowa". To ona dała mi szklankę mleka i mówi: "Ty się nic nie martw, ja mam książkę telefoniczną, poszukam w książce telefonicznej na Ciechanow. Znajdziemy go". Co się okazało, że ja pokręciłam. Ja poszłam na Stare Miasto, on mieszkał na Nowym Mieście. Znaczący ten sam numer, tylko nazwa trochę inna. Ta pani była na tyle nawet sympatyczna, że powiedziała, że mnie tam zaprowadzi, ale ja byłam na tyle mądra, że rozumiałam, że pan Ciechanow może nie będzie zadowolony, że ktoś obcy jeszcze przychodzi ze mną, to jej powiedziałam: "Nie, ja bardzo dziękuję. Jak pani wytłumaczy, gdzie to jest, bo to niedaleko..." To rzeczywiście przyszedłam tam. Okazało się, że pan Ciechanow naprawdę miał mnie wziąć, ale pomylili się z dniem. On wiedział, że ja mam dopiero nazajutrz. Dlatego on po mnie nie przyszedł. Pan Ciechanow mnie zawiózł do Rembertowa. Tam było przygotowane dla mnie lokum. W tym Rembertowie już była jedna dziewczynka żydowska. To była nawet daleka moja krewna, z którą razem byłyśmy w getcie i nagle jesteśmy jak w raju. Ten pan nie pracował, żona wychodziła do pracy, a on miał małego chłopczyka kilkuletniego i on był w domu razem z nami, przynosił nam z rana bułeczki i zapisał nas do czytelnicy, i w ogóle zdawało nam się, że jesteśmy w raju. Po prostu byłyśmy szczęśliwe. Po tym głodzie w tym getcie, nagle takie luksusy i on dwoił się i troił się, i byłyśmy we dwójkę, i miałam koleżankę, i jego

chłopczyk był dużo młodszy od nas, tośmy się nim trochę zajmowały. Było nam dobrze. Ale któregoś dnia... Moja ciotka przychodziła raz na jakiś czas, żeby przynosić pieniądze, bo on dostawał za to pieniądze. Któregoś dnia dostaję telefon od mojej ciotki: "Jak jego nie będzie w domu, spakujcie się, co potrzebujecie najbardziej potrzebnego i wsiadajcie w autobus, jedźcie do Warszawy". A myśmy się nie chciały stamtąd ruszyć. Ja mówię: "- Dlaczego? Przecież nam... - Nie pytajcie się nic, uciekajcie stamtąd". Co się okazało? Że nasz miły gospodarz prawdopodobnie współpracował z jakimś łapownikiem, bo któregoś dnia moja ciotka, która nam przynosiła te pieniądze, nie wyglądała na Żydówkę w ogóle. Była blondynką, miała niebieskie oczy, a do tego ze względu na to, że nie miała pieniędzy, to wynajęła sobie jakiś pokój u jakiejś bardzo prymitywnej rodziny polskiej. A że lubiła się myć, a to nie było tak u nich w modzie, to pytali się jej: "Dlaczego ty się tak często podmywasz?". To ona mówi: "Bo ja mam kochanków. Ja jestem prostytutką". I ona się ucharakteryzowała na prostytutkę. Zrobiła sobie czerwone wargi takie, nosiły kolczyki z takich kwiatów, ubierała się wyzywająco. Także naprawdę wyglądała na prostytutkę. I ona któregoś dnia szła ulicą i doszedł do niej taki łapownik, i do niej mówi: "Słuchaj, ja wiem, że ty jesteś Żydówką. Wejdź do bramy i oddawaj mi te wszystkie pieniądze, co masz, bo inaczej cię zademonstruję". I ona weszła z nim do tej bramy, zaczęła wyciągać, nie miałam tam za dużo pieniędzy, ale to, co miała, to mu wyciągnęła i widziała, że nasz gospodarz stoi w klatce schodowej i daje znaki tamtemu, że to jest w porządku, że on znalazł odpowiednią osobę. Także on zrozumiała, że ten nasz gospodarz to nie jest dobre miejsce dla nas i dlatego chciała nas stamtąd, że tak powiem wydostać. I znaleziono nam, i mnie i jej, tej mojej drugiej koleżance, tej, która to jest daleka krewna, miejsca na Kole. To była dzielnica kolejarzy. Proletariat. Ja byłam na ulicy Obozowej 81 u rodziny Majewskich. To była rodzina, on był tramwajarzem, oprócz tego miał taką olejarnię, gdzie nielegalnie toczył oliwę i mieli małego synka, który miał trzy lata. I potrzebowali kogoś do pomocy, bo we dwójkę chodzili do pracy, a dzieckiem trzeba było się zająć. Tak że mnie przyjęli do siebie. I to była rodzina skromna, ale bardzo serdeczna. Nawzajem żeśmy się bardzo pokochali. Naprawdę płaciło się za mnie minimalnie. Jestem pewna, że gdyby się gotówka skończyła, to ja bym tam dalej została, bo ja tam się czułam jak u najbliższej rodziny. Pani Majewska była osobą bardzo odważną, a on był lewicowym, ale był tchórzem. Strasznie się bał. On się ciągle bał, że może być jakiś donos. Ja, co prawda, miałam dobre papiery, mówiłam dobrze po polsku. Wyglądałam, nie powiedziałabym, że na aryjkę stuprocentową, bo byłam ciemną szatynką, miałam brązowe oczy, ale mówiłam dobrze po polsku i sąsiedzi mnie zaakceptowali. Znaczący nazywało się, że moja mama jest przyjaciółką pani Majewskiej, jest ciężko chora w szpitalu, ojciec zginął na wojnie, tak jak naprawdę było, a że pani Majewskiej jest ciężko sobie radzić z tym trzyletnim dzieckiem, to ona przygarbowała mnie do siebie i to wszystko, sąsiedzi to połknęli, wszystko było w porządku, ja tam u nich byłam, ale przez nasze

mieszkanie... przewijał się cały szereg żydowskich dzieci. Mieszkanie składało się z jednego pokoju. Jak wchodził sąsiad, to trzeba było te dziecko schować do szafy albo gdzieś. Co się okazało, ja znowuż, mnie nie opowiadano tego, bo ja jednak byłam jeszcze, miałam wtedy 13 lat. Ja tylko później się zorientowałam, na czym to polegało. W getcie były telefony. W getcie do ostatniej chwili były telefony. Z getta można było dzwonić na aryjską stronę, z aryjskiej strony do getta. Pani Majewska miała kontakt, możliwe, że ona nie działała samodzielnie. Możliwe, że była jakaś może "Żegota", może jakaś inna organizacja. Nie wiem jaka. W każdym bądź razie...

Paweł Błazewicz: Ona nie opowiadała, później już...

Ada Krystyna Willenberg: Ona nie opowiadała. Nie opowiadała w ogóle. Ona... Po prostu jej zadaniem było szukanie rodzin, które byłyby gotowe wziąć żydowskie dziecko do siebie. I ona rzeczywiście znajdowała. Byli ludzie, którzy byli gotowi wziąć za duże pieniądze i chować te dzieci. Byli tacy, którzy nie prosili dużo, ale chcieli, żeby te dzieci wyglądały aryjsko, żeby dobrze mówiły po polsku, tak że za każdym razem było jakieś inne miejsce, z jakimiś innymi warunkami i w ten sposób, jak ona znajdowała, to później nie wiem, w jaki sposób, prawdopodobnie przez śmieci wsadzali, do tych kubłów ze śmieciami, które wynosili z getta wsadzali te dzieci i te dzieci przychodziły do nas i na ogół jedną, albo dwie, albo trzy noce czasem spędzały u nas, a potem ona je zawoziła na te miejsca, które dla nich znalazła. Ale jedna z najciekawszych rzeczy, była historia, że był jeden chłopczyk, który miał może siedem czy osiem lat. On już był bardzo mądry, on był u nas kilka dni. Dla niego nie można było znaleźć na początku miejsca. Okazało się, że on jest też lunatykiem. On w nocy nam wchodził na okna, jak był księżyc i spacerował po oknach. I ten chłopczyk płakał, prosił, żeby albo go zabić, albo że on nie chce wrócić do getta. Nie można było znaleźć dla niego miejsca. Ale wreszcie ona mu znalazła coś. Ale któregoś dnia... Jest miejsce dla małej dziewczynki, może mieć najwyżej cztery-pięć lat. Ale jest warunek, że ona musi być blondynką, musi mieć niebieskie oczy, musi dobrze mówić po polsku i znać pacierze. I naturalnie trzeba szykować dużą sumę pieniędzy na to. W porządku. Majewska daje telefon do getta, w getcie odpowiadają, że jest coś takiego. I że rzeczywiście przyszła dziewczynka, która miała cztery lata, dobrze mówiła po polsku, ale była czarna, miała kręcone włosy, dosyć duży nosek, te miejsce się nie nadaje. Nazywasz się Marysia Jarząbek. To jest jej prawdziwe nazwisko. Prawdziwe imię i prawdziwe nazwisko, i na te prawdziwe swoje nazwisko dostała tę swoją fałszywą metryczkę. I teraz się robi problem. To miejsce nie jest aktualne, bo tam się zastrzegli, że ta dziewczynka musi wyglądać aryjsko, a ta nie wygląda aryjsko. Trzeba szukać nowego miejsca za duże pieniądze. Tymczasem mama jest w getcie. Pieniądzy nie ma. Któregoś dnia sąsiedzi nas wołają i mówią do nas: "Chodźcie na dach, patrzeć jak getto się pali". Wtedy wybuchło Powstanie w

getcie warszawskim. I teraz my wiemy, że getto się pali, pali się matka tej dziewczynki i palą się pieniądze. A Majewski cały czas kłócił się ze swoją żoną, on był filosemitą. Majewska była antysemitką. Majewska śmiała się z Żydów. Ja z nią często prowadziłam rozmowy. Mówię: "Pani Majewska, pani naraża życie dla Żydów". Mój wujek jak nie miał gdzie być, to ona go zapraszała do siebie. Jak moja babcia nie miała gdzie być, to dwie, trzy noce spędziła. Mówię: "Naraża pani życie swoje i dziecka, a w gruncie rzeczy pani Żydów nie lubi". To ona mówi: "To prawda, ale ja nie chcę, żeby Żydów zabijali. Ja bym chciała, żeby Żydzi opuścili Polskę". Tak że ona to była komiczna postać, wyjątkowa kobieta. A on był filosemitą. On był takim przedwojennym komunistą. Samouk. Robił maturę, a Majewska nie była wykształcona. Ona dużo wyżej od niej stała. Ale on się strasznie bał. On się bał, on ciągle mówił: "Przez ciebie to zginiemy i ja, i ty, i ten nasz Danuś, i Krysia. Przez tą małą my wszyscy zginiemy. Tą małą, trzeba z nią coś zrobić". Ale co zrobić? Teraz jeszcze wiemy, że getto się pali, to w ogóle pieniędzy też nie ma. Ale sąsiedzi domagają się, żeby iść na dach, patrzeć jak getto się pali. Majewska mówi: "Krysia, my musimy iść na ten dach patrzeć, jak się to getto pali. On może zostać w domu, bo wiadomo, że on ma małe dziecko, to on zostanie z tym dwojgiem dzieci, a my jedziemy patrzeć jak getto się pali". Idziemy na górę, patrzymy jak się getto pali. To dla mnie był straszny widok. Straszny widok był, a do tego to były też niektóre uwagi, które mnie też bardzo bolały, bo nie opłakiwało się ludzi, tylko opłakiwało się koronki, bielizna pościelowa, że się pali. Najmniej mówiło się o ludziach. Najwięcej mówiło się o tym, co wszystko się pali na tych Nalewkach. Majewska, czując to, co ja czuję, trzyma mnie za rękę, żebym ja nie robiła żadnych znaków, że to mi przeszkadza, te uwagi. Schodzimy na dół do pokoju. Myśmy mieli taką Amerykankę, która się na noc rozkładała. Na dzień to była taka duża kanapka. Na tej amerykance siedzi pan Majewski. Na jednym kolanie trzyma swojego synka, na drugim kolanie trzyma tę dziewczynkę, tę Marysię, płacze i mówi do niej tak: "Helka, ja postanowiłem, nie ma rady, ta mała zostanie z nami. Co będzie z nami, to będzie z nią. Ona tu zostaje". To była taka wzruszająca scena, bo on był takim tchórzem, on się tak bał i tutaj nagle on tak szlachetnie postanowił, że to było naprawdę wzruszające. I ta mała została. Teraz co się robi? Trzeba jej ufarbować włosy. Wtedy nie było farb. Woda utleniona. Ona przeżyła wojnę, ja ją spotkałam po wojnie, to ona do mnie mówi, że ona dzisiejszego dnia pamięta, jak ją paliła ta skóra z tej wody utlenionej, bo to był bardzo nieprzyjemny zabieg. Ale już wyglądała trochę lepiej. Oczu ufarbować jej nie można było, ale blond włosy już miała, po polsku mówiła dobrze. Pacierze znała. Na początku myśmy ją trzymali w domu i staraliśmy się, żeby nie miała kontaktu z nikim. Ale po jakimś czasie doszliśmy do wniosku, że przecież ona właściwie już się tak nie wyróżnia bardzo od innych dzieci. A wszystkie dzieci się bawią na podwórku, to dlaczego jej nie dać też się bawić razem z Danusiem, który był od niej o rok młodszy? I puściliśmy ją. Ona bawiła się razem z dziećmi, w porządku. Któregoś

dnia Majewscy są przy pracy, ja jestem z dwojgiem dzieci w domu, stukają do drzwi. Otwieram. Niemiec mnie szczypie w policzek, uśmiecha się do mnie radośnie, wchodzi grupa czterech czy pięciu osób: esesman, tłumacz, polski policjant, cztery albo pięć osób, nie pamiętam dokładnie i mówią do mnie: "- Słuchaj, jest donos, że wy tutaj macie żydowskie dziecko. -Mamy żydowskie dziecko? Tutaj jest Danuś i tu jest Marysia, która jest córeczką przyjaciółki pani Majewskiej, ale to jest dziecko chrześcijańskie". A przepraszam, jeszcze muszę się cofnąć. Moja ciotka przychodziła z wizytą ciągle raz na miesiąc, czy raz na dwa tygodnie, przychodziła do Majewskiej z wizytą i była bardzo mile widziana, bo ona lubiła pić, a pan Majewski też lubił pić. A Majewska nie piła, także była dobrze widziana u nas w domu. Też nie wyglądała na Żydówkę, tak że nie bali się, że ona może naprowadzić na jakiś ślad. I moja ciocia rozmawiała z tą małą i powiedziała jej: "Ty się nazywasz Marysia Jarząbek?", a ona mówi: "- Tak. - A ty wiesz, kim był twój tatuś? - Mój tatuś był nauczycielem". Moja ciocia przed wojną chodziła, w Warszawie było hebrajskie gimnazjum, które się nazywało Judea. I w tym jej gimnazjum ona miała profesora geografii i biologii, którego bardzo lubiano, bo z nimi jeździł na różne wycieczki i ona pamiętała, że on się nazywał Jarząbek. I w tym momencie ona skojarzyła, że to widocznie ta dziewczynka jest córką jej profesora. W porządku. Dobra. Ale teraz wracamy do tych Niemców. Więc ci Niemcy biorą tę małą, ten Niemiec bierze tę małą na kolana, sadza ją i tłumacz tłumaczy tej dziewczynce, że: "Słuchaj, ten pan chce ci dać olbrzymią czekoladę, ale ty musisz się przyznać do tego, że ty jesteś Żydówką, bo on wie, że ty jesteś Żydówką i on wie, że ty przyszłaś z getta. Jak powiesz prawdę, to dostaniesz taką olbrzymią czekoladę". I naprawdę wyjął taką olbrzymią czekoladę, a ja jestem w strachu, myślę sobie, dziecko, ona tej czekolady w życiu nie widziała i to jest taka pokusa, ten Danek siedzi obok i oblizuje się na samą myśl o tym. A ona patrzy na tę czekoladę, ona mówi: "Ja bym chciała tę czekoladę, ale mnie uczono, że nie wolno kłamać. Ja nie jestem Żydówką. Ja jestem Polką. Ja się nazywam tak i tak". W międzyczasie przychodzi Majewska. Majewska wróciła. I ten Niemiec, znaczy Polak tłumaczy i polski policjant był też, tłumaczy polski policjant, ten tłumacz tłumaczy tej Majewskiej, że: "Słuchaj, jest donos, że ty matkujesz żydowskiemu dziecku". Majewska mówi: "Ja matkuję żydowskiemu dziecku? Ja bym narażała siebie i moją rodzinę? To nie jest żydowskie dziecko. To jest córka mojej przyjaciółki" i opowiada jakieś bajki. Niemiec jej nie słucha i mówi do tej małej: "Słuchaj, ja byłem dla ciebie dobry, ale teraz jak widzę, że dalej kłamiesz...", to wyciąga rewolwer i dostawia jej do czoła, i mówi: "Jak nie przyznasz się do tego, że jesteś Żydówką, to my cię zabijemy. A jak się przyznasz, to my ci nic złego nie zrobimy". Ta mała się przestraszyła i powiedziała, że tak, że ona była w getcie, że jest Żydówką i do wszystkiego się przyznała. I teraz ten Niemiec mówi do Majewskiej: "I dalej upierasz się, że to nie jest żydowskie dziecko?", to ona mówi: "Słuchaj, ja nie wiedziałam, że ona jest Żydówką. Ja widziałam, stoi dziecko pod moimi drzwiami, płacze, ja mam sama

dziecko w jej wieku. Nie miałam sumienia, żeby ją wyrzucić. Ale ja, żeby wiedziała, że to jest żydowskie dziecko, ja bym jej u siebie nie trzymała". On nie chce słuchać, każe się ubrać pani Majewskiej, każe się ubrać tej małej i do nas, znaczy na mnie w ogóle nie zwracają uwagi, tylko ona z tą małą mają iść z nimi razem na Aleję Szucha. Aleja Szucha to jest wiadomo, że koniec. Stamtąd się nie wraca. Była straszna scena w domu, wszyscy płaczą, płacze ten mały Danek, płacze: "Mama, ja już cię nie zobaczę, ci Niemcy cię zabiją". Ja płaczę, Majewski płacze, wszyscy żeśmy płakali. Nie wiem, co się stało, ci Niemcy w pewnym momencie mówią temu tłumaczowi, żeby powiedział, że oni odchodzą, żeby Majewska z tą małą o godzinie 5:00, do godziny 5:00 żeby się zgłosiła na Aleję Szucha. I odeszli. I teraz się zaczyna problem. Co tu robić? Oni odeszli, a my tutaj jesteśmy w dylemie. Bo z jednej strony dać jej odejść, to znaczy że tak jak gdybyśmy się pożegnali. I wszyscy w płacz, wszyscy w płacz i ten mały Danek krzyczy: "Mama, ci Niemcy cię zabiją. Weź mnie też ze sobą, ja nie chcę żyć". Dzieci były takie mądre w czasie okupacji. Ta malutka biedna płacze też: "Wszystko przeze mnie". Po kilku minutach wraca ten polski policjant i mówi do nas: "Słuchajcie, wyście mieli wyjątkowe szczęście. Natrafiliście na porządnym Niemców. Nie trzeba iść na żadne Aleje Szucha. Dajcie pięć tysięcy złotych na niemiecki Czerwony Krzyż, ale ta mała musi być usunięta, bo był donos. Pytamy się, jaki donos, co za donos, skąd ten donos. Co się okazało, że ta mała, myśmy nie wzięli tego pod uwagę, ona była bardzo mądra. Ona organizowała zabawy. To oni się bawili w podwórku, to ona bawiła się w getto. "Ty będziesz Niemcem, ja będę Żydem. Tu będzie mur, ty będziesz skakać, ja będę strzelać. Ty uciekniesz, ja cię trafię". Przechodzi jakiś sąsiad, zrozumiał, że jakie chrześcijańskie dziecko wymyśli zabawę w getto? Tym bardziej, że wyglądała to dosyć podejrzanie. Zadenuncjował. I rzeczywiście Majewscy dali te pięć tysięcy złotych na ten niemiecki, nie wiem czy to poszło na ten niemiecki, czy to poszło do czyjejś kieszeni. W każdym bądź razie tę małą, Majewska znowuż nawiązała kontakt, był dom sierot Boduena w Warszawie. I tam powiedzieli jej, żeby ona z tą małą, żeby jej dała dokumenty wszystkie, żeby wyszła z nią niby tam na spacer. I w pewnym momencie, żeby się ulotniła, i ktoś stamtąd ją znajdzie, i zaprowadzi ją do tego domu. I rzeczywiście.

Paweł Błazewicz: Kto prowadził ten dom sierot?

Ada Krystyna Willenberg: Ksiądz beduin.

Paweł Błazewicz: Boduen.

Ada Krystyna Willenberg: Boduen, Boduen. I rzeczywiście ta mała trafiła do tego domu Boduena. Na tym się kontakt skończył. W międzyczasie wybuchło Powstanie Warszawskie i ja naturalnie chciałam walczyć. Więc miałam wtedy 15 lat, miałam koleżankę jedną, z którą postanowiliśmy, że idziemy walczyć.

Majewska była wtedy w ciąży z drugim dzieckiem. Także można ją było zostawić i myśmy poszły się zgłosić. Patrzyli na nas jak na wariatki. "To nie mamy broni dla dorosłych, a co, takie dwie smarkule chcą walczyć?" A że widzieli, że jesteśmy tak bardzo rozczarowane to nam powiedziano: "- Wiedziecie co, możecie coś zrobić. Chodźcie po domach i zbierajcie prezenty dla rannych walczących". - W porządku. Coś będziemy robić". I rzeczywiście miałyśmy multum przyjemności, bo to były pierwsze dni Powstania i ludzie dawali nam każdy, co miał, co najlepszego. Bomboniery, kwiaty i tak dalej. I myśmy przyszły obładowane do szpitala i teraz spodziewamy się, że będziemy chodzić od łóżka do łóżka i będziemy obdarzać tych Powstańców. Przychodzimy z tym naszym łupem do tego szpitala, a ta główna siostra do nas mówi: "Zostawcie to tutaj. My będziemy dzielić". To mówię: "- A my? - A wy? A, wy idźcie, tutaj jest pralnia. Są tam brudne bandaże. Pierzcie te bandaże". Poszłyśmy prać te bandaże. Do tych partyzantów nas nie dopuszczono. Wróciłam do domu i wtedy pierwszy raz Majewski mi zrobił taką awanturę, że ja do końca życia nie zapomnę: "Ty idiotko, ja narażam życie, żeby ciebie ratować, a komu ty pomagasz? Tym antysemitom? Tym AK". Bo to było AK. A on był AL. Powiedział: "Jak AL zacznie walczyć, to wtedy ja ci pozwolę, ale ty więcej się nie ruszasz stąd". I skończyło się. I uciekliśmy ze względu na to, że Majewska już była w bardzo zaawansowanej ciąży, tośmy uciekli z Warszawy i trafiliśmy do rodziny Majewskich, która mieszkała pod Warszawą. Berdyczowo? Berdyczów? Coś na "B". Boernerowo.. Do Boernerowa. I w Bernerowie Majewska urodziła drugiego swojego synka. Przyszli Niemcy, chcieli nas wziąć, ale zobaczyli, że Majewska jeszcze leżała w łóżku i krwawiła, z tym niemowlęciem, to ją zostawili. Męża też zostawili, bo było jeszcze drugie dziecko. Ale mnie wzięto. I to był 18 sierpnia 1944 roku. Dokładnie tego samego dnia, tego samego miesiąca, co dwa lata wcześniej zabrano moją mamę do Treblinki. I ja idę z tłumem Polaków, którzy, ja uważam, że idę na zagładę, bo w getcie mówili, że jak skończymy z Żydami i z Cyganami, to zabierzemy się za Słowian. Tak że ja byłam pewna, że teraz my, Słowianie, ja jako Słowianka, idziemy do Treblinki na zagładę. I myślę sobie: "Cholera, po co ja te dwa lata się jednak przemęczyłam. Czy nie lepiej było, jakby mnie wzięli razem z moją mamą dwa lata temu i tak dalej. Szłam i płakałam. Było mi strasznie smutno. Razem ze mną idzie taka grupa. Polski policjant, który też został złapany, z żoną. I on do mnie dochodzi, mówi: "Dziecko, co ty tak płaczesz?", to ja mówię: "Płaczę, bo złapali mnie samą, mój ojciec zabity został w wojsku, a mama umiera w szpitalu, a ja jestem tutaj sama i tak dalej". To on do mnie mówi: "Wiesz co, my nie mamy dzieci. My wyrzucimy nasze dokumenty, ty wyrzuć swoją metryczkę. Jak się dostaniemy do jakiegoś obozu, to powiemy, że ty jesteś naszym dzieckiem i będziemy razem". Mnie było wszystko obojętne, bo ja wiedziałam, że my idziemy na śmierć. Myślę sobie, on sobie wmawia, że my idziemy do obozu, ale ja wiem, że my jedziemy do Treblinki. Ale okazało się, że nie jechaliśmy do Treblinki, tylko pojechaliśmy do Drezna.

N1418_kr_FINAL_2_2

Ada Krystyna Willenberg: Jak przyjechaliśmy do Drezna, to tam zaczęła się segregacja i pytano się o różne zawody. I ten policjant, on był bardzo sprytny, on wiedział o tym, że w Dreźnie są fabryki amunicji i że Drezno jest bardzo bombardowane, to on się starał, żeby nas gdzieś wsadzili gdzieś indziej. I podał, że my jesteśmy rolnikami. On miał jakąś willę pod Warszawę podobno. Na tej podstawie on powiedział, że my jesteśmy rodziną rolników i nas wysłano na farmę między Dreznem a Lipskiem. I na tej farmie byli już rolnicy polscy, którzy przyjechali dobrowolnie, bo była taka grupa Polaków, którym się źle powodziło i oni przyjeżdżali dobrowolnie na prace na roli i oni byli na lepszych warunkach. Oni mieli mieszkania dla siebie, oni dostawali jedzenie inne. Ale nas wsadzili do takiej obory, gdzie były takie trzy jakieś pomieszczenia. W jednym pomieszczeniu byli jeńcy rosyjscy, w jednym pomieszczeniu byli jeńcy francuscy, a myśmy byli grupa siedem osób, bo ja byłam z tymi niby to moimi rodzicami, potem był jakiś ojciec... I myśmy mieli pokój w siódmkę. Razem z nami był ojciec z synem, jakiś szwagier ze szwagierką i ja z tymi moimi rodzicami. I nas zdali do pracy na roli. Pracowaliśmy na roli. Był taki, tym wszystkim kierował taki Niemiec, który widocznie w czasie I wojny światowej był ranny w nogę, bo kulat i chodził z laską. I wszystkich w czasie pracy okładał. On był... On nie był takim sadystą, jak on był... Oni nawzajem się nie rozumieli. On wydawał rozkazy po niemiecku, a tam nikt niemieckiego nie rozumiał. Ani ci Rosjanie, ani ci Francuzi, ani Polacy. A ja znałam francuski, bo moi rodzice mówili między sobą po francusku. Po za tym ja jeździłam ciągle do dziadków. Tak że znałam. Ja znałam rosyjski, bo chodziłam do rosyjskiej szkoły. Ja znałam żydowski, ale nie znałam niemieckiego. Ale ten mój żydowski był bardzo podobny do niemieckiego. I ja się bałam zdradzić, że ja właściwie rozumiem te rozkazy, które daje ten Niemiec tym Polakom, czy tym Rosjanom, czy tym Francuzom, że ten mój ojciec, który może znał żydowski trochę i tego, że pozna, że ja nie mówię po niemiecku, tylko po żydowsku. Także ja na początku milczałam i on walił ludzi. Kilka osób poszło do szpitala, nie wróciło. Nie wiadomo, czy zostali zabici, czy... W każdym bądź razie było kilka wypadków, że straciliśmy pracowników. Ale wśród tych Polaków, którzy tam pracowali dobrowolnie był też taki chłopczyk, trochę starszy ode mnie, Józio się nazywał, który doił krowy. I myśmy mieli dostawać mleko, ale nie mleko ze śmietaną, tylko zdejmowano śmietanę na masło, a myśmy dostawali, serwantka to się nazywa?

Paweł Błazewicz: Serwatka.

Ada Krystyna Willenberg: Coś w tym rodzaju. Nietłuste mleko. Ale ze względu na to, że ja mu się widocznie podobałam, to on nam przynosił śmietanę. Poza tym on nam przynosił swoje racje jedzeniowe, które dostawał. I od czasu do czasu z respektu całował mnie w policzek, a że śmierdział krowami, to mi to

było bardzo nieprzyjemne. Ale czego się nie robi dla rodziny. Szczególnie, że ten mój tatuś był bardzo zachłanny. On mnie ciągle wysyłał, żebym ja do tego Józia, żeby ten Józio mi przyniósł coś do jedzenia i tak dalej. Nawet w pewnym momencie jak ja się zdobyłam na odwagę po jakimś czasie, po kilku miesiącach, i doszłam do wniosku, że mój żydowski jest niemiecki, i zaczęłam tłumaczyć, i wtedy rzeczywiście moje warunki pracy się trochę polepszyły, bo ja często byłam wzywana jako tłumaczka, to ten mój tatuś mnie też często przysyłał, żebym prosiła tego Niemca o różne dodatkowe rzeczy. I na ogół to zdobywałam. Ale któregoś dnia pracujemy na roli, zbieramy brukselki. Brukselki rosną zimą w śniegu, pod śniegiem rosną. Jesteśmy bez rękawiczek, ręce mam zmarznięte, bo to mróz, ale praca to praca. Ale następnego dnia był taki straszny deszcz i chmury, i śnieg, że już nie można nas było wysłać na te brukselki, a że trzeba nas było zatrudnić, to nam kazano prać worki. A te worki to były worki ze sztucznego nawozu. A ten sztuczny nawóz to jest tak jak pył węgielny. Taka czarna masa. To była syzyfowa praca. Niepotrzebne, bo do tych samych worków później wysyłali dalej to samo. Ale żeby nas zatrudnić. I że bardzo zimno nam było, tośmy dla rozgrzewki co jakiś czas ktoś inny chodził po gorącą wodę. Jak przyszła kolejka na mnie, że ja miałam iść po tę gorącą wodę, a ja jestem ślamazara, to mi się ta gorąca woda rozlała, a nie mieliśmy, nie byliśmy ubrani. Nosiliśmy worki. Bo nas zabrali w sierpniu. Myśmy miały tylko lekkie sukienki, ale ta moja mama z worków zrobiła nam takie peleryny i takie spódnice. I ja sobie zalałam tę całą nogę tą gorącą wodą i później na tym mrozie ta noga spuchła mi. Jak przyszłam wieczorem do domu, to dostałam bardzo wysoką temperaturę i nazajutrz nie mogłam iść do pracy. Niemiec sprawdza, widzi, że mnie nie ma. To pyta się: "Gdzie jest ta mała?". To ta moja mama mówi: "- Ona jest chora. Ma wysoką temperaturę. Nie mogła przyjść do pracy. - Co jej jest?" To ona mu pokazuje, że coś, ona nie mówiła po niemiecku, pokazuje coś na nogę. "Niech ona przyjdzie do mnie do biura". Ja się ubrałam, idę do biura, do niego do biura, on patrzy na mnie, wyciąga taki olbrzymi nóż. Myślę sobie: "Nie, już koniec. Teraz on mnie zarzyna". Ale on w ogóle nie. On wziął, rozciął mi tę nogę i wyszła ta cała woda z tej nogi i to się zagoiło, i po dniu nie było już temperatury. Także...

Paweł Błazewicz: A mogłaby pani opowiedzieć, jak się skończył finał tej miłości Józia do pani, jak pani mu wyznaje właśnie, że jest Żydówką. Takie, żebyśmy już skończyli ten wątek.

Ada Krystyna Willenberg: Jest 1 maj. Francuzi dostali widocznie jakąś wiadomość, już mieli widocznie tajne radio czy coś takiego i pukają do nas do tego, nie pamiętam, czy to była ściana, czy firanka, zawiadamiają nas, że Niemcy uciekli i że jesteśmy wolni. Rosjanie się zbliżają. Więc ten Józio, to jest ta moja sympatia, że był bardzo sprytny i był chłopcem ze wsi, złapał od razu furmankę, zaprzęgił dwa konie, wszystkie nasze nędzne dobytki. A nie mieliśmy właściwie nic, ale wzięliśmy ze spiżarni jedzenie i

ruszamy w drogę. Po drodze zaczynamy szabrować. Niemcy puciekali z domów. Także w tych domach znajdowaliśmy ręczniki, bieliznę pościelową, suknie, poubierałyśmy się na kwiciasto i tak dalej, i jedziemy w stronę granicy. Pierwszego dnia zrobiliśmy 40 kilometrów, ale bez bagażu, bo te wszystkie bagaże były na tym wózku. Teraz mówią: wojna się skończy. I teraz jest problem. Ja jestem pewna, że ja jestem jedyną Żydówką, która została na całym świecie. Nikogo nie mam. Teraz mam problem. Z jednej strony ja mam tych swoich rodziców, którzy wiem, że on jest antysemitą, że opowiadał mi, jak łapał Żydów. Ona nie, ona była sympatyczna. Ona mnie naprawdę kochała i naprawdę matkowała mi. Ale on był obrzydliwy. Myślę sobie tak: tutaj u nich oni mi układali plany, że ja pójdę do szkoły, że mają ładny domek pod Warszawą, który na pewno został, bo w czasie Powstania oni go widzieli, że był. Także będę mogła chodzić do szkoły i będę mogła się uczyć, ale będę musiała całe życie udawać, że nie jestem Żydówką. Z drugiej strony Józio, ten chłopczyk, on mnie bardzo kochał, byłam pewna, że jemu mogę wyznać prawdę i on nawet był na tyle szlachetny, że wiedząc o tym, że ja jestem przyzwyczajona do dużego miasta, to powiedział, że nauczy się szewstwa, że on będzie szewcem i że będzie mieszkać w Warszawie, i że będziemy mieli dużo dzieci, i wiedziałam, że z nim to ja uczyć się nie będę, ale kłamać też nie będę. I tak się zastanawiałam, co tutaj wybrać. Naprawdę nie wiedziałam, co postanowić. Ale jak wróciliśmy do Warszawy, to moja ta przyszywana mama mnie wystroiła pięknie w to, co żeśmy zaszabrowały po drodze i poszłam do pani Majewskiej, bo sobie pomyślałam, że może pani Majewska przeżyła i może ja będę u niej, bo już wolałam być z nią razem niż z kimś obcym. Jak przyszłam do pani Majewskiej, to pani Majewska mi powiedziała: "Krysiu, nie martw się. Ty nie jesteś sama. Twój wujek przeżył wojnę. Ten wujek, z którym razem ja się wychowałam. Są dwie twoje ciotki, które też przeżyły wojnę". Dała mi adresy i rzeczywiście poszłam do jednej z moich ciotek i też zostałam oblana zimną wodą, bo moja ciotka była wielką estetką, ta ciocia moja. Jej pierwsza reakcja, jak mnie zobaczyła... Ubrana byłam jak wieśniaczka, na głowie miałam siatkę taką złotą, bo ta mama mnie tak wystrychnęła, że bym ładnie wyglądała. Ona mnie zobaczyła i powiedziała: "Krysiu, to ty? Jak ty wyglądasz?". Ja tutaj spodziewam się, że ta ciotka mnie uściśnie, ale ona taka była, ta moja ciotka. To była taka jedna. Bo jeszcze były dwie inne. Więc znalazłam, okazało się, że jest wujek który był dla mnie jak brat. On się ożenił w czasie okupacji z tą ciocią, która była niby tą prostytutką i która też mnie bardzo pokochała. Także ja weszłam w ciepłą rodzinę. Znaczący to nie byli dla mnie rodzice, ale to byli tak jak gdyby starsi brat z żoną. Ale urodziło im się dziecko. Urodziło im się dziecko, nie było gdzie mieszkać. To na początku znaleźliśmy mieszkanie w Kaliszu. To właśnie w tym miejscu, skąd te nasze towary, że tak powiem wędrowały. I moja ciocia, ja zaczęłam chodzić do szkoły. Po wojnie w Polsce były szkoły dla dorosłych, także Polacy się też nie uczyli. Także w jednej klasie robiliśmy w ciągu roku dwie albo nawet pierwszego

roku trzy klasy, bo ja miałam 16 lat, jak wojna się skończyła i cztery oddziały szkoły. Także trzeba było na gwałt to wszystko nadrobić.

Paweł Błażewicz: To już była szkoła taka, że byli i Polacy, i Żydzi, jak wyglądała?

Ada Krystyna Willenberg: To byli prawie sami Polacy. Ja byłam i tylko jeszcze jedna Żydówka. Sami Polacy i my tylko dwie Żydówki. Jeszcze była taka gruba, ona się nazywała gruba Krysia. Bo ja byłam chuda Krysia, ona była gruba Krysia. Przyjaźń była wielka. Ja miałam koleżanki wszystko Polki dla odmiany. Była grupa Żydów, która wróciła z Rosji. Z nimi żeśmy się też trzymali, młodzi chłopcy, wszyscy chcieli się na gwałt żenić. Jak wojna się skończyła, zostało mało dziewcząt, a więcej chłopców, bo do tej Rosji uciekało więcej mężczyzn niż kobiet. I na ogół większość przeżyła w Rosji. I wszyscy tracili rodziny. Także jak każdy chłopak, jak z nim wyszłam raz czy dwa razy, to już chciał się żenić, żeby mieć dzieci, żeby znowu mieć rodzinę. Także nie dlatego, że ja byłam taka piękna czy taka urodziwa, ale po prostu każdy chciał jak na gwałt założyć rodzinę i rzeczywiście atmosfera była wyjątkowa. Myśmy byli obcy ludzie, ale byliśmy wszyscy rodziną. Szczególnie mój wujek i ciotka to był taki dom ciepły, bo tych dorosłych było mało, a na ogół było wszystko w moim wieku albo trochę starsi. Także był cały szereg różnych romansów, wszyscy się chcieli żenić, ale moja ciocia i wujek chcieli na gwałt, żebym ja się uczyła. Nie żadne romanse, żadne dzieci. Najpierw musisz zrobić maturę, a później... będziemy myśleć dalej. Myśmy w pewnym momencie z tego Kalisza żeśmy się wynieśli do Łodzi. W Łodzi ja zaczęłam chodzić do innej szkoły i na gwałt szukałam mieszkania dla mojej rodziny. Bo oni mieszkali w Ciechocinku. W letnim domu w Ciechocinku, dziecko było malutkie i moja ciotka prosiła mnie, bo dojdę do znajomości z moim mężem. Moja ciotka mnie prosiła ze względu na to, że ja chodzę do szkoły w Łodzi i spotykam ludzi, że każdego kogo spotkam, żebym zapytała, czy nie słyszał o jakimś małym mieszkanku dla małej rodziny. I ja rzeczywiście mieszkając kątem u jakiejś koleżanki mojej ciotki, spałyśmy w jednym takim niedużo szerszym łóżku od tego, ale ja miałam jednak dach nad głową i mogłam chodzić do szkoły. Znowu też nas były tylko dwie Żydówki w klasie. I każdego człowieka, którego napotykałam, pytałam się, czy nie słyszał o jakimś mieszkaniu. I któregoś dnia idę do mojej tej koleżanki, z którą mieszkaliśmy razem, żeby ją wziąć do pracy, żeby ją wziąć do domu. I siedzi tam taki piękny polski oficer. Naprawdę mój mąż był wyjątkowo urodziwy, wyjątkowo urodziwy. Jest mało tak ładnych aktorów, jakim on był. I on siedzi tak na fotelu takim jakimś i ja tak patrzę na niego, nie na urodę, tylko mówię: "Może pan słyszał o jakimś mieszkaniu dla małej rodzinke?" On mówi: "Mam dwa pokoje, piękne mieszkanie na Nawrot tutaj, ale jest jeden warunek. Musisz za mnie wyjść za mąż". I on się śmiał, później mówi: "Nawet nie widziałem, jak wyglądasz". Bo miałam taki jakiś beret, który mi zasłaniał pół twarzy, jakieś stare paletko. Niewysoka. To

był naturalnie dowcip. Koniec. Wszyscy się tam śmieli, jeszcze tam wujek mój nadszedł, powiedział: "Krysiu, czego się nie robi dla rodziny. Poświęć się i wyjdź za niego za mąż". Koniec. Któregoś dnia ja idę, a mój wujek znalazł mieszkanie. Znalazł mieszkanie na ulicy Nawrot w Łodzi. Któregoś dnia ja idę do szkoły i spotykam tego oficera na przystanku. On już nie jest oficerem, on jest w cywilu. I on mnie poznał, pyta się: "- Co ty tu robisz? - Ja tu znalazłam mieszkanie akurat obok". Okazuje się, że na tej samej ulicy mieszkamy. Ale on do mnie mówi: "Ale ja dzisiaj wyjeżdżam do Palestyny. Prowadzę grupę młodzieży żydowskiej do Palestyny". I ja do niego mówię: "- To napisz mi z drogi. - Ja napiszę". Napiszę, ale nawet nie pytał mnie o adres. I naturalnie on nie napisał. Okazało się, że on przeprowadził grupę młodzieży żydowskiej, do Palestyny miał jechać, ale jak dojechał do Rzymu, to dostał wiadomość, że ojciec umarł. Jak dostał wiadomość, że ojciec umarł w Łodzi i wiedział o tym, że matka została sama, to on zostawił już tę grupę. Ta grupa już przeszła przez te niebezpieczne miejsca, Alpy i tak dalej, oni już byli w drodze na okręt, to on wtedy wrócił z powrotem do Łodzi i wtedy myśmy zaczęli się spotykać. I od wtedy się zaczął, że tak powiem romans między nami. Dwa lata myśmy ze sobą chodzili. Dwa lata nie mogłam się zdecydować. On był piękny, ale on miał cały szereg rzeczy, które mnie trochę od niego odstraszały. Przede wszystkim on był nieoczekiwany. On miał strasznie dużo fantazji. On robił rzeczy, które, wie pan, normalny śmiertelnik tego nie robi. Poza tym lubił pić. Lubiał kobiety. A najgorsze dla mnie to było to, że on miał matkę. I wiedziałam, że ta matka straciła dwie córki, a on był jedynym jej synem i nagle wejdzie do tego domu jeszcze jakaś kobieta, z którą on będzie jednak dzielił, że tak powiem, swoje uczucia. Tego się najbardziej bałam. Ale okazało się... A poza tym to ja też marzyłam, że ja będę miała męża, który będzie mi ojcował. Ja chciałam starszego pana z siwymi włosami. Pamiętam nawet, jaki miałam określony typ. Że to będzie brunet, szpakowaty trochę. I on będzie mi ojcował. A ten nie był typem do matkowania. On był nieoczekiwany. Ale wyszło dobrze. A z matką myśmy się tak pokochały, że ona była dla mnie jak matka, a ja dla niej jak córka. A jak się urodziła nam córka, to w ogóle jej życie się, że tak powiem, przed nią otworzyło. I nazwaliśmy córkę moją Orit. A Orit to jest imię, które się składa z pierwszych liter naszych, którzy zostali zamordowani. Bo moja mama nazywała się Rachel, to miałam "R", jedna siostra mojego męża nazywała się Ita, to było "I", jedna się nazywała Tamara, to jest "T", to było RIT, dodaliśmy "O", wyszła Orit. A Orit po polsku to jest "światłana". A "światłana" to jest, wie pan, symboliczne, bo ona nagle była światłem szczególnie dla babci. Ta babcia zajmowała się nią i nagle przed nią się świat otworzył, bo do urodzenia się mojej córki to ona była przygnębiona. Nie można jej było ani do teatru wziąć, ani do kina. Ona ciągle opłakiwała te swoje dwie córki, które straciła. Ale jak się urodziła Orit, a ja chodziłam do pracy, mąż chodził do pracy, a ona się nią zajmowała, to nagle dla niej się życie otworzyło. A mój mąż... Teraz pan chciał powiedzieć a propos...

Paweł Błażewicz: O Powstaniu Warszawskim właśnie. Jak...

Ada Krystyna Willenberg: O Powstaniu Warszawskim. Przepraszam, przed Powstaniem Warszawskim, nie wiem, czy pan wie, ale mój mąż jak tylko uciekł z Treblinki, to on był dywersantem na ulicach. To pan słyszał, jak opowiadałam?

Paweł Błażewicz: Ale to może rzeczywiście. Może od tej Polskiej Armii Krajowej. Dobrze, tak.

Ada Krystyna Willenberg: W tej Polskiej Armii...

Paweł Błażewicz: Od Polskiej Armii Ludowej. O, tak, tak. Bo on był dywersantem w Polskiej Armii Ludowej, tak?

Ada Krystyna Willenberg: On najpierw w ogóle jak wrócił do Warszawy, to ojciec miał stosunki z podziemiem. Ja nie wiem dokładnie z jakimi partiami, ale wiem, że on go wsadził do tego, że on dostał łączniczkę, z którą go łączyło bardzo dużo. Ona była łączniczką w ogóle. Oni się mieli nawet pobrać. Także oni chodzili po ulicach Warszawy, dochodzili do Niemców. Ona zaczepiała Niemca i zaczynała z nim rozmawiać, a on od tyłu dochodził, zabierał mu broń. Jak można było, zabierał mu też marynarkę, dokumenty. Nie wolno było zabijać, bo za każdego zabitego Niemca zabijali 150 Polaków, także to była jego, że tak powiem, czynność razem z nią przed Powstaniem. Później jak wybuchło Powstanie i on był w AK, w AK był podobno jakiś oddział NSZ. To byli antysemita. On po prostu jak poszedł walczyć, to postanowił, że on poda swoje prawdziwe nazwisko. Nie chciał zginąć jako Ignacy Popow, tylko chciał zginąć jako Samuel Willenberg, żeby wiadomo było, że Żyd walczył w Powstaniu. I tam podobno była grupa takich antysemitów, która doszła do jego łączniczki i jej grozili, powiedzieli jej: "Ty masz tylu Polaków, chrześcijan, to co ty się zadajesz z tym Żydem? Zostaw tego żydka" i tak dalej, i tak dalej. Ona później mu opowiadała o tym, że wiesz, tutaj jest dużo tobie nieprzychylnych. A któregoś dnia on opowiadał, że on miał jakąś lornetkę i że on tę lornetkę trzymał, przez tę lornetkę oglądał w czasie walk i w pewnym momencie jakiś jego kolega prosił go, żeby on mu tę lornetkę dał na chwilę. I w tym momencie oni strzelili i zabili tamtego. I on uważał, że to był znak, ta lornetka to był znak, że to jest Żyd. I że przez to, że dał tę lornetkę temu koledze, to ten kolega został zabity, a nie on i wtedy on postanowił, że on opuszcza tę Armię Krajową i pójdzie do PAL-u.

Paweł Błażewicz: A opowiadał coś o takich też przeżyciach pozytywnych? Bo podtrzymał też tę przyjaźń z żołnierzami z Armii Krajowej.

Ada Krystyna Willenberg: Tak, myśmy się co roku... Przecież Ruczaj, to był oddział Ruczaj. Więc jest dla przykładu, ja nawet to mam w domu. Któregoś dnia jesteśmy na takim zebraniu. To już nie pamiętam, to było już ładne kilka lat po wojnie, dochodzi do nas młody człowiek i mówi, przynosi mojemu mężowi laurkę. Ta laurka jest... Jego ojciec był, zdaje się, albo walczył razem z moim mężem, albo jego dowódcą był. I on zginął, znaczy on był w Oświęcimiu. Tam na tej laurce jest napisane tak: "Dwóch przyjaciół. Razem walczyli. Razem byli w obozach, jeden w Oświęcimiu, jeden w Treblince. We dwójkę walczyli w czasie Powstania. We dwójkę nie żyją". I to przyniósł mojemu mężowi, a to do dzisiejszego dnia mam taką oprawioną w ramkę. A poza tym bardzo był zaprzyjaźniony z takim, on się nazywał Róg Mazurek. To był jego dowódca, który był później w Poznaniu dyrektorem księgarni.

Paweł Błazewicz: Państwo byli Żydami, którzy przyjechali z Polski. W Izraelu było sporo Żydów polskich. Jedni przyjechali już po wojnie, a część przybyła z Armią Andersa.

Ada Krystyna Willenberg: Tak.

Paweł Błazewicz: I oprócz tego wiadomo, że byli Żydzi, którzy jeszcze wcześniej przybyli.

Ada Krystyna Willenberg: Jak myśmy przyjechali, było bardzo mało, było dużo takich, którzy przyjechali do Palestyny jeszcze przed wojną. Ale takich powojennych nie było dużo. Myśmy byli właśnie, myśmy nie byli przyjemnie... Myśmy byli bardzo nieprzyjemnie przyjęci. Nas... Wie pan, jest takie opowiadanie, po hebrajsku to się nazywa [niezrozumiale, 00:29:11]. To jest uderzenie, "81. uderzenie". Ktoś napisał książkę i zrobił nawet taki film krótkometrażowy, że on był w Oświęcimiu. On był w Oświęcimiu i on dostał w Oświęcimiu... 80 uderzeń dostał w Oświęcimiu, to było straszne, ale to uderzenie 81. było w Izraelu, które było najgorsze. Bo nie chcieli mu w ogóle wierzyć. Uważali go... W ogóle nas uważano za tchórzy. Że: "Jak można było, tyle was było milionów i wyście nie mogli się postawić Niemcom?". Oni pamiętali, że byli machabeusze. Nie wiem, czy pan słyszał.

Paweł Błazewicz: Oczywiście.

Ada Krystyna Willenberg: To była taka działalność. Dzielność, Masada, wojna, która wybuchła, wojna wyzwolenicza. Otoczeni Arabami, takie ilości Arabów, a tu mała grupa Żydów i oni to wszystko zwyciężali. A tutaj miliony Żydów nie potrafili się obronić? I wie pan, takie były brzydkie reakcje, że ludzie przestali opowiadać. Myśmy na siłę opowiadali, ale nam... Jest dużo ludzi w wieku pana, a nawet starszych, którzy mają pretensje do swoich rodziców, że im nie opowiadali o swoich przeżyciach, ale ci rodzice mieli powody. Bo myśmy na siłę opowiadali. Dostownie na siłę. Mój mąż spotkał po wojnie... Mój mąż

właściwie stracił całą rodzinę. Przyjechał tylko z matką. Ale jego siostra, która miała... Jak została zabita, miała 24 lata. Ale miała romans. Jak miała 13 lat zakochała się w chłopcu 16-letnim. I oni byli parą. Od wtedy oni byli cały czas parą. Znaczący parą nie seksualnie, ale ten chłopak siedział u nich całymi dniami w domu. To była wielka miłość. W 1936 roku ten chłopak wyjechał do Palestyny. Oni się zaręczyli i było w planie, że on postara się o [niezrozumiałe, 00:31:42] to się nazywało, znaczący o pozwolenie, żeby ją ściągnąć do siebie też po tym, jak się zaręczyli i swojego brata. I rzeczywiście w 1939 roku jemu się udało załatwić wszystkie papiery i on miał przyjechać do Polski, żeby wziąć tą swoją narzeczoną i swojego brata. I wtedy, kiedy on przygotował już sobie bilety, dostał list od matki: "Nie ruszaj się, bo mówią, że będzie wojna. Jeszcze niepotrzebnie możesz tutaj utknąć w wojnę. Poczekaj, jak czasy się uspokoją". I on nie przyjechał. Został w Palestynie. Jak myślimy przyjechali do Palestyny, to mój mąż pierwsze szukał jego, bo on wiedział, że... To był dla niego w ogóle wzór, bo on był starszy od niego, on był poważny, on był dobrym uczniem. I siedział ciągle u nich w domu, tak że to był dla niego jak starszy brat. Jak znaleźliśmy go w Izraelu, okazało się, że on skończył uniwersytet, tutaj studiował. Pięknie nas przyjął i jak mąż chciał zacząć opowiadać o tym, co się działo, to on się wyłączał. On w ogóle nie chciał słuchać. Mój mąż był tak obrażony na niego, mówi: "- Jak ty możesz... - Proszę cię, ten temat zakończony. Możemy o wszystkim mówić, ale nie o okupacji. Ja nie chcę o tym słyszeć". I było takich wielu. Także myślimy po prostu byli... To jest tak, jak tamten napisał, to 81. uderzenie to naprawdę było takie uderzenie. Dopiero później oni zaczęli sobie zdawać sprawę, że ludzie najpierw byli w gettach głodzeni, później byli w obozach bez broni. Przecież jak wybuchło to Powstanie w Treblince? Przecież oni nie mieli broni. Wie pan, jak to wyszło. Przecież w obozie zrobić powstanie to jest dużo gorzej niż w mieście, bo Powstanie Warszawskie, w getcie oni mieli kontakt, prawdę powiedziawszy to jest lewica. Lewica. Nasza lewica miała kontakt z komunistami polskimi i oni im dostarczyli broni. A w obozach nie mieli broni. Dopiero jak zrobili tamten pokój, zna pan tę historię, że Niemcy sprowadzili broń dla siebie i oni dorobili klucz i tak dalej. To to im dało tę możliwość.

Paweł Błażewicz: To może ostatnie takie pytanie. Jakie były pani przeżycia związane z powstaniem tych rzeźb?

Ada Krystyna Willenberg: Gdzie?

Paweł Błażewicz: Rzeźb [Samuela Willenberga]. Jak pani mąż postanowił wyrzeźbić te rzeźby i jak to było, i co pani czuła, jak to pani...

Ada Krystyna Willenberg: Co czułam? Wściekłość.

Paweł Błażewicz: To może pani opowiedzieć.

Ada Krystyna Willenberg: Ja powiedziałam, każda rzeźba to była kłótnia między nami. Dlatego myśmy nie byli tacy zamożni. Ja lubię jeździć. Myśmy zarabiali sobie na to, że raz na kilka lat można było gdzieś jechać za granicę. A taka każda rzeźba to jest kilka tysięcy dolarów. To zrobił pierwszą rzeźbę. Wiedziałam, że... On pracował do 70 lat. Był pełen energii. Jak miał 70 lat, to miał energię. To był w ogóle fenomen. Naprawdę. Nie dlatego, że to jest mój mąż, ale on był coś wyjątkowego. Ja to się powtórzę to, co powiedziałam przedtem, że ja myślę, że... On tych kozackich miał przodków, bo to słyszał pan? To ja panu mówiłam czy komuś innemu? Jego matka była Rosjanką.

Paweł Błażewicz: Aha, oczywiście.

Ada Krystyna Willenberg: Prawosławną. Przeszła na judaizm, jak wyszła za mąż. Była o 24 lata młodsza od swojego męża. Ale widocznie miał w tej rodzinie jakichś kozaków, cholera, którzy mieli temperament taki. On, wie pan, nie można było za nim nadążyć. On miał ciągle jakieś takie fantazje. Jak miał 60 kilka lat, to on postanowił, że on zrobi nam łódkę try... Jak to się...

Paweł Błażewicz: Trimaran.

Ada Krystyna Willenberg: Trimaran. On wybuduje trimaran. Ja mówię: "- Igo, trimaran? A co będzie w tym trimaranie? - Pojedziemy naokoło świata. - Ale ja przecież pływać nie umiem. „Nie szkodzi, będzie w porządku". Naturalnie nic z tego nie wyszło. On miał zawsze wielkie fantazje. On też jako młody chłopak uciekał ze szkoły i nie miał biletów na... Bo im się tak dobrze nie powodziło. Artysta malarz przed wojną dopóki był profesorem w szkole i dostawał miesięczną pensję, to było w porządku, ale jak dostawał pracę, żeby malować synagogi, to płacili mu wekslami. Weksle to jest taki... Wie pan co to.

Paweł Błażewicz: Tak, tak, tak.

Ada Krystyna Willenberg: Na daleką datę. To po to, żeby mieć pieniądze teraz, to się to sprzedawało za jedną czwartą wartości. To mąż opowiadał, że on często chodził do szkoły z dziurawymi butami. A że miał wielką fantazję i chciał zobaczyć świat i miał kolegę Polaka, którego ojciec był dyrektorem banku w Częstochowie, to oni mieli kilka groszy, kupowali sobie miejscówki, przyjechał pociąg, wsiadali sobie, miejscówkę pokazywali, pociąg ruszył, wchodzili na dach i na dachu przejechali całą Polskę. Dojechał do Gdańska, weszli na okręt i chcieli jechać do Ameryki. Na okręcie znalazła ich policja. Oni chcieli być kelnerami na tym okręcie, żeby jechać do Ameryki. Znalazła ich policja, przyszła policja do domu, to

mama opowiadała, przyszła policja do domu, mama otwiera im drzwi, pyta się: "Żyje?", to oni mówią: "- Tak, żyje, tylko siedzi w więzieniu. - Dlaczego siedzi w więzieniu? - Bośmy go znaleźli na okręcie".

Paweł Błażewicz: A wróćmy do rzeźb właśnie.

Ada Krystyna Willenberg: Słucham?

Paweł Błażewicz: Jedna rzeźba była bardzo droga, żeby zrobić i...

Ada Krystyna Willenberg: Każda rzeźba to było kilka tysięcy dolarów. To jest jazda nasza za granicę. Tak że każda rzeźba to była kłótnia między nami. Ale wie pan, jeździliśmy za granicę też i teraz nie żałuję.

Paweł Błażewicz: Ile lat to trwało?

Ada Krystyna Willenberg: Nie tak dużo. On zaczął rzeźbić jak miał 70 lat. A skończył to jakieś chyba trzy lata.

Paweł Błażewicz: Trzy lata te wszystkie rzeźby.

Ada Krystyna Willenberg: Tak. Tak, bo... Pewnie, pierwsza wystawa była w Zachęcie. To było sześćdziesiąty... Sekundę. To była 60. rocznica Powstania w getcie. To było 2003 rok?

Paweł Błażewicz: 2002 rok, tak.

Ada Krystyna Willenberg: 2002? 2003 rok.

Paweł Błażewicz: Albo 2003 rok, tak.

Ada Krystyna Willenberg: 2003 rok.

Paweł Błażewicz: A jaka jest historia tej rzeźby z Janem Pawłem II?

Ada Krystyna Willenberg: To jest historia tego rodzaju, że my pamiętamy kler bardzo, że tak powiem z negatywnej strony. Ja wiem, że kler, że w kościele, po wsiach... Ksiądz mówi do zebranych, że Żydzi zabili Jezusa i dlatego Żydów trzeba nienawidzić, ale nie mówi, że Jezus był Żydem. Ja tu powtórzę panu coś, co opowiadałam tam. Nekanda-Trepka zrobił pierwszy film o moim mężu "Ostatni świadek". Bardzo dobry film. Widział go pan?

Paweł Błażewicz: Nie, jeszcze nie.

Ada Krystyna Willenberg: Bardzo dobry film. Nieważne. W każdym bądź razie to była ucieczka. To jest film o ucieczce mojego męża już z Treblinki. I jak on nakręcał ten film, to pojechał z moim mężem do Częstochowy, bo robił zdjęcia na tle tego domu, gdzie on mieszkał i ulic, po których się kręcił. Jak skończyli kręcić, to Trepka jeszcze z ekipą chciał jechać gdzieś dalej, a mąż mój chciał wrócić do Warszawy, bo ja w Warszawie na niego czekałam. I pyta się: "Kiedy jest pociąg do Warszawy?", to mu mówią: "Za cztery godziny". Ale on widzi, że na torze stoi pociąg: "- A co to za... - Ten pociąg jest do Warszawy, ale to jest pielgrzymka". To mój mąż mówi: "To może ja się do tej pielgrzymki dołączę". Doszedł do takiej pani, która sprzedawała te bilety, mówi: "Proszę bardzo, pan się może dołączyć". I on się dołączył. Wszedł do takiej... do przedziału.

Paweł Błażewicz: Do przedziału, tak.

Ada Krystyna Willenberg: Do przedziału. I siedzą tam takie dewotki stare z takimi jakimiś wisiorkami, one coś tam machają. A myśmy wtedy mieszkali w Jerozolimie. I on się z nimi wita i mówi, że: "- Ja tutaj przyjechałem z Jerozolimy. - Z Jerozolimy? To Pan Jezus też przecież z Jerozolimy". To mój mąż mówi: "Tak. Pan Jezus z Jerozolimy, Pan Jezus był Żydem i ja jestem Żydem. - Co pan za głupstwa gada? Pan jest Żydem, ale Pan Jezus? - Nie tylko Pan Jezus. Matka Boska też była Żydówka". Jak on powiedział: "Matka Boska była Żydówką", to go chcieli wyrzucić z tego... To jest taki mały przykład, jak... Tak że jak umarł papież, a papież był naprawdę bardzo przychylny Żydom. Nie wiem, czy pan wie, ale on się wychował w dzielnicy żydowskiej i miał dużo przyjaciół. Jego doradca nawet na Watykanie też był Żydem. I to była ładna postać, która nagle zaczęła głosić o tym, że Żydzi to są jak nasi starsi bracia i że trzeba ich tak traktować. I mąż się wzruszył, i postanowił, że zrobi jego postać. I to właściwie oprócz Treblinki to to jest jedyne, co on jeszcze zrobił.